

PROMIEN



ROK XV

MAJ i CZERWIEC 1946

NR 6 i 7

PROMIEN

Miesięcznik Młodzieży I. Państw. Liceum i Gimnazjum
w Ostrowie - Wilk.

Kierownik Wydawnictwa — Redaktor odpowiedzialny — Redaktor naczelny
T. Burzyński mgr. K. Misiak Z. Pruszyński

ROK XV

MAJ I CZERWIEC 1946

NR. 6 i 7

IN ILLO TEMPORE...

RYBACKI E., kl. II lic. przyr.

Z wielkich dni T. T. Z-etu

Miał to być sprawdzian sił naszej młodzieży, koleżanek i kolegów z całego Okręgu Poznańskiego. Zapowiadał się wielką bieganiną, hałasem i szukaniem miejsc sypialnych dla kolegów — gości, przyjezdnych, władz, i całą masą kłopotów znanych tylko organizatorom.

Nareszcie skończył się okres wstępnych przygotowań, gorączkowych dyskusji na przerwach w szkole, nadszedł dzień turnieju literackiego, dzień, w którym młode literackie siły naszego zakładu zmierzyć się miały z najwybitniejszymi siłami szkół całej Wielkopolski.

Zjazd zapowiadał się naprawdę imponująco. Przybyli koledzy literaci z większości szkół, nawet znalazł się jakiś Kujawiak od Gopła, jak mówiono, przyszły „Kasprowicz”. Z ostrowskich sił do turnieju stanęli: z Gimnazjum Żeńskiego, filar ówczesny kol. Adamska, oraz grupa, której nazwisk nie pamiętam. Z naszego zakładu same ówczesne „asy”: kol. Rajsing, Nabzyk, Orzel, Furmanek i Fiksiński.

Tłok przy biletach był wielki. Każdy, kto żył, kto czuł się chociaż troszkę związany z naszą „budą”, szedł, by dodać otuchy tym, którzy mieli ubiegać się o zaszczytny tytuł „poeta laureatus”, pierwsze miejsce w tym turnieju. Jak każdy zjazd, tak i ten zaczął się mowami powitalnymi, ceremoniałami wstępnymi, po których zakończeniu zaczął się turniej.

Popłynęły z mównicy wiersze, popłynęła proza tak lekka, tak ciepła i pełna uczucia, że rwała przed sobą wszystko, wszystkie tamy, jakie nałożone zostały życiem i jego koniecznościami.

„Górnicy” kol. Rajsinga, przyniętli nas masą węgla, nie węgla z kopalń, lecz węgla z życia, tego ciężkiego życia szarego człowieka.

Wprowadził on wszystkich w świat pracy, straszny świat pełen niebezpieczeństw, walki o chleb codzienny i życie. I to życie zamarło na sali... Wśród ciszy słychać było łomot kilofów — dzwonów górniczych, warkot maszyn ciągnących naladowane wózki węglem i ciche, ciągle skradanie się śmierci, ciąglą z nią gonitwę górnika.

I na to tło dano wiersz „Ukrzyżuj Go“, kol. Orła. „Ukrzyżuj Go“... tętniło po sali jak wielki wyrzut sumienia. Przy świetnej deklamacji autora, wstrząsnęło do głębi, porwało. Zdawało się, że tuż, tuż przed nami odbywa się znów Wielka Ofiara, że tłumy jak przed tysiącem lat krzyczą: „Ukrzyżuj Go, ukrzyżuj“... I wyszedł Piłat z umyłymi rękoma, i tłuszcza ryknęła: „Ukrzyżuj“.

Gdy zszedł z mównicy, nikt przez chwilę nawet nie klasnął, a potem zerwała się burza i wiersz ten opanował wszystkich, nawet nas wtedy najmłodszych. I potem przewaliła się po sali „Szarża kawalerii“, kol. Furmanka, zapachniało prochem, huk przyszłej wojny rozdarł powietrze, zahrzęczały kule, krew zaczęła się burzyć. Uczucie waliło się z niej fontanną bólu, zapалу i miłością tego, co było wszystkim najświętsze, miłością ojczyzny.

Cicho wszedł na mównicę kol. Fiksiński. „Idzie sobie mały licealista“, to był tytuł jego utworu. Cechowała go prostota, taka wielka prostota, po prostu stwierdzenie faktu o życiu „małego licealisty“, jego bólach, uczuciach, zawodach i walkach z życiem. To życie, takie proste na pozór, takie łatwe, pokazało swe zęby i to okrutne zęby „małemu licealiście“. A nad tym wszystkim górował obraz Matki, tej cichej bohaterki życia. Ta prostota podejścia i wyidealizowany obraz matki, były czymś tak czystym, krystalicznie czystym, że zszedł on z mównicy oklaskiwany z olbrzymim zapalem i z jeszcze większym szacunkiem.

Całość turnieju prowadził kol. Nąbzydk. Dzięki niemu atmosfera turnieju co chwilę się zmieniała, umiał on zabawić całość, zespolić wszystko swoim dowcipem.

„Kasprowicz“ kujawski okazał się takim samym piewcą Kujaw, jak nasz wielki poeta, ziemia jego była ukochaną ziemią, była dla niego wszystkim.

I tak płynęły utwory za utworami, jedne lepsze od drugich, a nam najmłodszym, entuzjazm rozsadał piersi, biliśmy brawa i z dumą i zazdrością spoglądaliśmy na naszych kolegów.

A kiedy podano wynik turnieju i pierwszą nagrodę dostał jeden z kolegów z naszego zakładu, kol. Orzeł, entuzjazm nasz doszedł do szczytu. Wyladowaliśmy go później na kawie, urządzonej dla gości. Wśród śpiewu, krzyku, uczciliśmy zwycięstwo naszych kolegów solidnie odjadając się ciastkami.

Minał zjazd, część kolegów biorących w nim udział jest rozproszona po świecie, lecz wspomnienie jego, chwil na nim przeżytych nigdy nie zginie z pamięci.

Kult Mariański

w przeszłości naszego gimnazjum

Vivat Polonus, unus defensor Mariae!

(A. Mickiewicz).

... Na wyniosłej skale, pośród oceanu, wysoko nad ziemią niby gniazdo orle widzi oko ludzkie potężną budowlę, sięgającą niebios. Wznosi się spokojna, zapatrzona w niebo, jakby u jej stóp skalistych nie szalała burza. Przepływających obok niej żeglarzy przykuwa błagalny śpiew, dolatujący z góry: „Pod Twą obronę...“ Pani nasza, Pośredniczko nasza, Poczyszycielko nasza... Omdlałe od wiosłowania ich ręce szukają spoczynku, nawałnicę przepędza na moment wichur gwałtowny, przed oczyma strudzonych jawi się o niebiańskim obliczu, anielskim spojrzeniu, skupiona, majestatyczna. Płaszcz swój, niby skrzydła anielskie, rozpięła nad granitową twierdzą. „Biedny, kto Ciebie nie zna“ — doleciało smętnym akordem współczucia do nieszczęśliwych rozbitków. Jedni porwani nieprzepartą tęsknotą za sercem matczynym, przybyli do brzegu natychmiast, drudzy gnani jakąś zapamiętałą wściekłością, pomknęli dalej.

Obraz wszystkim znany.

Zamczysko to, to Kościół Chrystusowy, budowniczy jego Bóg-Człowiek. Ukazujący się na firmamencie Kościoła znak czarownicy to Niepokalana, arcydzieło Bożego Geniuszu, Bożego natchnienia. — Wzburzony przestwór oceanu, to życie nasze, a grupka nieszczęśliwych rozbitków — ludzkość.

Piękny i uroczy jest czas młodości. To okres jakby formowania się kielicha kwiatu, który wabi tęczą swych cudownych barw i promieniuje w około subtelnością woni. Jednak nim z kwiatu wyłoni się doskonały owoc, niejedno grozi mu niebezpieczeństwo; zbyt zimny, lub zbyt gwałtowny podmuch wiatru, może zwarzyć delikatne pędy, długa posucha może pozbawić go życiodajnych soków. Kwiat wędnie, gasną jego tęczowe kolory, niknie aromat balsamicznej woni. Okres młodości jest okresem kształtowania się charakteru człowieka, rozwoju jego fizycznych i duchowych sił. Tyle jednak niebezpieczeństw zagraża młodej duszy, tyle zdradliwych sieci czyha na stopy młodzieży, tyle ułud czarownych usiłuje omamić jej serca! Toteż w okresie młodości tak gorące jest pragnienie, by umocnić się duchowo i przejąć głębokimi zasadami, by stężyć w swej woli i uodpornić się na pokusy.

by przygotować się na późniejsze życie. Ziszczenie tych pragnień zależy przede wszystkim od wychowania młodzieży na wszystkich odcinkach życia. Jedną z organizacji duchowych, która najwydatniej wspomaga w wychowaniu jest Sodalicja Mariańska. Powierzyła ona od brzasku swego istnienia dzieło rzeźbienia dusz na modłę Chrystusa Niepokalanej Pani Niebios, jako swej Mistrzyni.

U Jej stóp, koją się, wichrami złego szarpane umysły, by w tej dusznej atmosferze świata zmaterializowanego, spychającego ciągle w dół, odetchnąć powietrzem o żywicznej woni, jaka splywa z dłoni niepokalanych, by wreszcie pod tchnieniem tego wielkiego ducha Mariańskiego rozpiąć złożone w jakimś odrętwieniu skrzydła swych szlachetnych wzlotów ku idealowi nieskalanego dobra i piękna.

W Niepokalaną więc zapatrzone umysły sodalisów rozwijały się i pod Jej kierunkiem wznosiły się w duszach Jej czcicieli świątyni ku czci Matki Najświętszej.

W związku z setną rocznicą istnienia naszej Almae Matris Ostroviensis przerzucmy karty sodalicyjnej przeszłości naszego gimnazjum, przeszłości, która odpowie, czy Sodalicja nasza rzeźbiła istotnie na swym otliczu rysy Niepokalanej.

W r. 1921 zrodziła się w umysłach uczniów naszego gimnazjum myśl, ażeby na fundamencie zasad mariańskich, zacząć pracę nad budową nowej organizacji — Sodalicji Mariańskiej. Projekt ten przybrał realne formy w dniu 7-go marca 1921 r., którą to datę uważać można za dzień narodzin naszej Sodalicji Mariańskiej. Powstała ona pod kierownictwem ks. prof. Lecha Ziemskiego. Do ważniejszych zdarzeń w historii naszego stowarzyszenia, należy bez wątpienia pierwsze zebranie, zwołane przez ks. prefekta, który podkreślił doniosłość powziętego zamiaru, oraz rolę i cel Sodalicji.

Praca rozpoczęła się. Na naczelnym miejscu postawiono kwestię przygotowania kandydatów do złożenia ślubów sodalicyjnych. Sprawozdania z licznych w tym okresie zebrań wykazują, jakim zainteresowaniem darzyła ówczesna młodzież naszego gimnazjum nowopowstałą organizację. W wyniku poczynionych starań Sodalicja nasza otrzymała w dniu 15 maja 1921 r. akt erekcji i agregacji. O przyjęciu się idei mariańskiej na gruncie gimnazjum świadczy utworzenie trzech sekcji: eucharystycznej, opologetycznej i abstynenckiej.

Najchlubniejszą jednak datą w zaraniu dziejów kongregacji, był dzień 13 listopada 1921 r., dzień, w którym kandydaci złożyli pierwszą uroczyste śluby sodalicyjne. Sodalicja zyskała w ten sposób pierwszych rycerzy Marii. Odtąd szeregi będą powiększały się corocznie.

Okres od roku 1922 do 1925 jest ciągłą, wytężoną pracą nad podniesieniem organizacji. O żywotności Sodalicii świadczy fakt, że nie upadła, ale dzięki świeckiemu apostołstwu wśród niesodalistów powiększała jeszcze swe kadry.

Na szczególniejszą uwagę zasługują w tym okresie liczne występy artystyczne sodalisów, które pozwolą nam zrozumieć, na jakim poziomie znajdowało się wówczas stowarzyszenie. W r. 1923/24 wystawiono wspaniały dramat historyczny O. Henryka Tricarda T. J. p. t. „Bóg nie umiera“, który był niejako wyrazem młodzieńczych uczuć czcicieli Marii, oraz sprawdzianem i dowodem przywiązania młodzieży do idealów katolickich. W następnych latach wystawiono z powodzeniem „Warszawiankę“ — Wyspiańskiego, „Mnicha“ — Korzeniowskiego, „Pana Geldhaba“ — Fredry, „Wenancjusza“ i „Ostatni dzień Flawiuszów“.

Rok 1925/26, był rokiem chwilowego załamania się rozpoczętego dzieła wskutek pracy przy nadbudowie gimnazjum. W związku z tym nauka odbywała się również w godzinach popołudniowych, co utrudniało działalność Sodalicii. Mimo tego nie przestała ona istnieć, a wkrótce nawet doszła do największego rozkwitu. Liczba członków wówczas dochodzi do 125 na ogólną ilość 700 uczniów zakładu.

W dalszych dziejach naszej Sodalicii, nie znajdujemy już przełomowych faktów. Następne lata są nieprzerwanym łańcuchem wytężonej pracy i trudów tak w dziedzinie organizacyjnej, jak i wyrobienia duchowego. Na pytanie, czy praca ta wydała plon, niech odpowie historia ostatniej wojny. Młodzież tutejszego gimnazjum nie splamiła honoru Polaka i katolika. W wielu wypadkach religia była siłą motoryczną poczynań i wystąpień młodzieży. Tą jej postawę należy przypisać licznym organizacjom, a wśród nich Sodalicii Mariąńskiej z jej kultem Niepokalanej, który stał się ważnym czynnikiem pedagogicznym w szkole wyrobienia wewnętrznego. Z tej kuźnicy charakterów, wyniosła młodzież naszego zakładu wiele idei, które na wzburzonych falach życia nie pozwoliły rozbić słabej struktury duchowej wielu jednostek.

Do tego jednak dojść możemy tylko przez wytężoną pracę nad sobą. Prózne są tutaj słowa, górne frazesy. Tu potrzeba czynów. To też dziś, w obliczu trudów, dążeń i wysiłków młodzieży, co jak łaknący podróżny przyszła orzeźwić się w tej oazie wiedzy i idealów — w naszej starej, drogiej uczelni, niechaj każdy z nas zawoła z Krasieńskim:

„Zginięcie me pieśni — wstańcie czyny moje!“

Intra Mural Athleties „Venetii“

Dnia 7-go listopada 1915 r. czterech uczniów, członków G. K. S. „Venetii“, Podejma, Kowalczyk, Winkowski i Urbaniak na zaproszenie K. S. „Ostrovii“ udało się na mecz piłki nożnej z mistrzem Wrocławia. Wyjazd ten minąłby bez echa, gdyby nie recenzja w „Breslauer Zeitung“, podnosząca walory sportowe wyżej wymienionych gimnazjastów. Wiadomość ta przedostała się do grona profesorskiego „królewskiego gimnazjum w Ostrowie“. Nadzwyczajna konferencja rozwiązała dnia 19-go listopada 1915 roku „Venetię“, uzasadniając to tym, że należą do niej wyłącznie Polacy i żaden z nich nie wziął udziału w zbiórce złota („dla rozstrzygnięcia zwycięstwa“), ani też nie należał do Jugendwehr'u. Podejma, Kowalczyk, Winkowski i Urbaniak otrzymali po 8 godzin karceru szkolnego i zagrożenie wydalenia z gimnazjum (consilium abeundi).

Po szerokim świecie przewala się tymczasem kataklizm pierwszej wojny światowej. Wypadki toczą się szybko: klęska Niemiec, rządy Naczelnej Rady Ludowej w Ostrowie, nasze stare gimnazjum wita pierwszego polskiego dyrektora, Fr. Kusia z Przemyśla. 4-go kwietnia 1921 roku na powrót powołano do życia „Venetię“, która w najbliższych latach przeżywać będzie okres niezwykłego rozwoju.

Sekcja piłki nożnej rozgrywa szereg spotkań. Już w drugim roku od czasu swego odrodzenia wygrywa pierwszy mecz z „Ostrowią“ 2:1. W Kaliszu gromi tamtejszy U. K. S. 14:2. Z reprezentacją Kalisza wygrywa po ambitnej walce 4:3. W sezonie jesiennym bije znów „Ostrowię“ 4:1, co potwierdza jej opinię najlepszej drużyny Ostrowa. Rok 1924 przynosi „Venetii“ dalsze sukcesy. „Wolność“ z Krotoszyna zespół 60 p. p. z Ostrowa i klub gimnazjastów gnieźnieńskich muszą uznać wyższość naszych piłkarzy. Tegoż roku gromią oni jeszcze raz „Ostrowię“ w stosunku 2:1, drugi raz remisują 2:2, co daje „Venetii“ moralne mistrzostwo m. Ostrowa. W r. 1927 następuje krótki okres słabości, ale w krytycznym momencie drużyna szybko podnosi się, krzepnie i zdobywa mistrzostwo grupy niezwiązkowej. W finale spotyka się z „Ostrowią“, którą zwycięża w stosunku 6:0.

Rok 1929. „Przegląd Sportowy“ omawiając sport w Ostrowie tak pisze:

„Były mistrz m. Ostrowa gimnazjalna „Venetia“, pomimo pewnego spadku w formie z powodu straty siedmiu czołowych piłkarzy zawsze jeszcze reprezentuje najlepszy ostrowski futbol. Pod względem stylu nie może równać się z nią żadna drużyna miejscowa. Biały sport jest już niepodzielnym królestwem „Venetii“, posiadającej przeszło

50 członków i własny kort. Najlepszy ostrowski tenisista, Jezierski, jest członkiem klubu gimnazjalnego. Sekcja tenisowa „Ostrovii“ jest filią „Venetii“, gdyż czołowi jej tenisiści, byli aż do ostatnich czasów członkami szkolnej organizacji. Hokey na trawie jest monopolem „Venetii“, jedynej organizacji gimnazjalnej w Wielkopolsce, uprawiającej ten sport. W grach ruchowych, koszykówce i siatkówce, dominuje również „Venetia“. Sekcje pływackie posiadają tylko „Venetia“ i „Sokół“. Lekkoatletyka wprawdzie rozwija się wzwyż, lecz słabo i nie obejmuje szerszych mas. Najintensywniej na tym polu pracują sekcje „Sokoła“, „Venetii“ i 60 p. p.

Tyle „Przegląd Sportowy“. „Venetia“ uprawiała także i inne sporty. Pewien czas ćwiczone boks pod kierownictwem prof. Jaworskiego, szermierki zaś uczył popularny stary biolog, wychowawca wielu generacji, prof. Grzywak.

W latach tych po pierwszej wojnie światowej śmierć zajrzała w szeregi członków „Venetii“. Z przedwojennej generacji umiera śmiercią lotnika por. pilot Mierzejewski Stefan, w lipcu 1924 roku ginie w falach Bałtyku, Konieczny Stanisław, jeden z czołowych piłkarzy „Venetii“.

W ostatniej wojnie, w kampanii wrześniowej poległ prof. Bogdan Chrzanowski, długoletni opiekun „Venetii“, duszą całą związany z naszą organizacją. Nad kanałem La Manche ginie śmiercią lotnika Mikołaj Ferić. (W słynnych eskadrach polskich 302 i 303 w Anglii latał chlubnie Władysław Kamiński, również stary „Wenecjusz“). — W Warszawie ginie rozstrzelany za konspirację przeciwko Niemcom najlepszy lekkoatleta „Venetii“, dr F. Zydorowicz. W szeregu strat katyńskich figuruje nazwisko „Wenecjusza“ adw. Winkowskiego. — „Gestapo“ morduje stud. med. Br. Palysa. Oto lista, niepełna z pewnością, tych, którzy życie swe oddali za Wielką Sprawę.

Kiedy i jak powstała „Urania“, trudno dociec. Fakt faktem jednak, że K. S. „Urania“ jako sekcja „Venetii“ (specjalność koszykówka) przetrwała wszystkich przeciwników z Ostrowa, Kalisza, Kępna, Krotoszyna, Ostrzeszowa wygrywając zawsze w b. wysokim stosunku. Były to lata 1929-1933. Największą zasługą „Uranii“ była propaganda koszykówki na terenie południowej Wielkopolski, propaganda skuteczna, ponieważ nie było meczu, który by „Urania“ przegrała. Nazwiska graczy: H. Tyrakowski, Kurdziel M., Grzesiek E., Kołodziejczyk A., Karasiński St., Rogalewski i Ziółkowski przejdą do historii „Uranii“, która żyła krótko, lecz chlubnie.

Pieśń o lesie

Witaj o lesie zieleniejący
Witaj o borze, w wiosny rozblasku!
Coraz świetniejsze nad tobą słońce
I chóry ptasie w porannych brzaskach!

Pójdziemy wszyscy Ci hymny śpiewać,
Stopieni w Jedność z twą Boską ciszą
Śpiew twój z powiewem poniosą drzewa
A smętną dumką szum ukolysze.

Jaką świeżością wabi twa zieleń!
Jak pełne czaru twe leśne ścieżki!
Mchy z bujną trawą w dywan się ścielą,
Górą rozpięty namiot niebieski...

Trudno opisać wszystkie uroki,
Jakie wciąż hojną rozsiewasz dłonią
Im bardziej wsiąkam w twój mrok głęboki,
Tym więcej cisza mi w uszach dzwoni.

W obliczu wiecznej twojej piękności
Czuję, jak się do Boga przybliżam!
Twój spokój częstszym już u mnie gościem,
A ja z wichrami wciąż lecę wyżej!

Tonę w tobie mój lesie jak mistyk,
Który miłością niebo przebija
W wonnym powietrzu, jak kryształ czystym
Nie pelzną nigdy zawiści żmije!

Rozkoszne twoje puszczy gęstwiny
I słodkie z tobą chwile spędzone!
Papuzie gwary światowe gina,
Gdy mnie ogarnia miękkie twe łono!

W wiosennej stajesz przede mną szacie,
Nigdy nie skąpiąc w smutku swych pieczęci...
Gdy w drzew poszumie liście szeleszczą!

Ostrów, 15 maja 1946 r.

Alma Mater Ostroviensis...

(Rozważania jubileuszowe w setną rocznicę naszego zakładu (1845—1946))

Motto: „Daruj, jeśli będziem chwalić się po świecie,
Ześmy od Ciebie wzięli na ten wieniec
[kwiatu“.

A. Mickiewicz (Do Joachima Lelewela).

Ciekawa jest historia naszego narodu, pełna sprzeczności, jak samo życie. Z jednej strony wspaniały lot zwycięstw w poszumie skrzydeł husarskich, z drugiej tragiczna w pobrzęku muzyka kajdan Sybiru i suchego trzasku rozstrzeliwań na tej ziemi polskiej, pełnej lez i krwi... Nic dziwnego, że smutne dotąd i żałobne obchodziliśmy rocznice. Radosne należały do wyjątku. Takim szczęśliwym wyjątkiem jest również setny jubileusz istnienia naszej uczelni.

Odległe to czasy, kiedy w kwietniu 1845 roku dzięki zjednoczonym wysiłkom założycieli, ks. Kompally i W. Lipskiego powstało nasze gimnazjum. Pomimo panowania pruskiego, pomimo najsroższych przesładowań z czasów bismarkowskiego „Kulturkampf-u“, zakład zachował swój jednolity polski charakter. Mimo pruskich programów i widać wzrastającej fali germanizacyjnej, polscy twórcy tego zakładu, polscy częstokroć nauczyciele i polscy uczniowie od dnia założenia do r. 1918 wiernie dzierżyli sztandar patriotyzmu. Czasy te wydały takich uczonych, jak: ks. Pawlicki, Kalina i Danysz, takich kapłanów jak ks. kardynał Dalbor i ks. biskup Lisiecki, takich dygnitarzy szkolnych, jak b. kurator, a obecny szef departamentu w Ministerstwie Oświaty dr M. Pollak.

Nadchodzi rok 1918, rok wolności. Zakład nasz z ducha polski, przybiera teraz już jawnie szatę narodową. Okres lat 1918—1939 to okres rozkwitu w niepodległym państwie polskim. Po opuszczeniu szkoły przez niemieckie siły profesorskie, napłynęli nowi wykładowcy i wychowawcy. Czasy te, wzmoczonej twórczej i pokojowej pracy w szkole wydały całe masy cennego narybku inteligencji zawodowej, wśród którego znalazł się też znakomity poeta współczesny, niedoświadczona chluba Ostrowa, Wojciech Bąk.

Tragiczny wrzesień 1939 roku i mroczne lata okupacji zatamowały, lecz nie przerwały nurtu pracy wychowawczej zakładu. Cały szereg nauczycielstwa, a w nim obecni wykładowcy, profesorowie: Czechowska, wdowa po ś. p. rozstrzelanym przez Niemców dyrektorze Adamie Czechowskim, jej córka Lewkowa M., Chrzanowska J. wdowa po poległym filologu Bogdanie Chrzanowskim, uczniu naszego zakładu, Bożek Bolesław oraz autor tego artykułu prowadzili pełną poświęceń

pracę nauczycielską w tajnym nauczaniu. Duszą tych wszystkich poczynañ był młody, uzdobniony filolog „prof. Jasio“, mgr Jan Wikariak, celujący uczeń naszej szkoły i długoletni wychowanek autora niniejszego szkicu.

Dzięki ofiarności jednostek, zrozumieniu u ogółu i zaparciu samej młodzieży, udało się szczęśliwie nie tylko przetrzymać całą golgotę niewoli, ale prowadzić nawet, na większą skalę zakrojone, tajne nauczanie.

Jak piękne wydał ten trud owoce, okazało się to dopiero w po-okupacyjnym okresie. W przeciwieństwie do względnie łatwych i masowych wyników w pracy gimnazjalnej w dawnym tak zw. Generalnym Gubernatorstwie, u nas ten trud przerobienia jednej, dwóch, czy więcej klas w okresie okupacji trzeba było ciężko nieraz okupić łapanką, aresztowaniami, w cieniu koszmarnych macek „gestapo“ i w zasięgu stałej i piekielnej opieki reneatów, Dąbrowskiego, Kna-kowskiego i innych.

Plon jednak był piękny i sowiecie się oplacił w szkole powojennej.

Wskreszenie naszego gimnazjum nie było znów ani rzeczą błahą, ani łatwą, jak się to niektórym — chcącym celowo pomniejszyć, w ogóle ten najcięższy dla gimnazjum okres pominąć — wydaje. Podczas gdy rozmaici „wielcy ludzie od małych interesów“ ścielili sobie na gwałt przytulne gniazdka domowe, autor powyższego artykułu, przy pomocy woźnych, niestrudzonego Bogackiego (obecnego sekretarza) i Sołtysiana organizowali dosłownie z niczego gimnazjum. Pomimo ofiarnej pomocy władz ob. ob. starosty, burmistrza, miejscowego P. C. K., dyrekcji gimnazjum żeńskiego, Głównych Warsztatów Kolejowych, jak również i komendanta wojennego majora Feczina, trzeba było stale płynąć przeciw fali, ze szkodą osobistą i z zupełnym pogrzebaniem spraw prywatnych.

Dziś oczywiście to wszystko minęło już jak burza lipcowa. Stoimy prawie że na silnych nogach. Mamy profesorów specjalistów we wszystkich dziedzinach, ponad 760 uczniów, a z klasami prywatnymi ponad 1000, w 24 klasach. Posiadamy potrzebny sprzęt i najprymitywniejsze pomoce naukowe. Dzięki duchowi przedsiębiorczemu profesorów: Pędzińskiego, Nowaka i Wróbla, dźwigają się już jak Feniks z popiołów lub Poznań z gruzów — biblioteka uczniowska, gabinet fizyczny i najwcześniej urządzona pracownia zajęć praktycznych. Nasze organizacje uczniowskie z harcerstwem i „Venetią“ na czele wracają już do normalnej pracy przedwojennej.

Nie wszystko naturalnie jest już w porządku. Do ideału jeszcze daleko. Biblioteka bardzo skromniutka (ponad 1000 tomów), zbiory skąpe, brak wielu jeszcze pomocy naukowych, brak sali gimnastycznej i t. d., i t. d. Pod względem naukowym młodzież nasza wykazuje jeszcze liczne braki w przedmiotach, cierpi na chroniczny brak czytania (nie ma książek) i t. p. Pod względem wychowawczym mimo

wszystko wojna nie zdołała w 100% uodpornić naszych chłopców. Ciężkie warunki materialne, słabe charaktery, niepunktualność oraz brak karność — oto grzechy główne naszych wychowanków.

Krzywdziłby jednak ten krytyk naszą szkołę, który by sądził, że u nas same tylko błędy się gnieżdżą. Nic podobnego! Przede wszystkim spełniamy nasze stuletnie posłannictwo promieniowania kulturalnego na zewnątrz. Ostatnio po okupacji Wielki Wieczór Mickiewiczowski, „Zemsta“ — Fredry, Akademia P. Z. Z, wieczory klasowe, udział we wszystkich obchodach, obecna setna rocznica, tegoroczne obozy harcerskie na ziemiach odzyskanych — oto niektóre tylko słupy młowe naszej roboty kulturalno-społecznej.

Nie byłoby na pewno tak pięknych na tej niwie wyników, gdyby nie gorąca, całą szkołę ożywiająca miłość ojczyzny. Z chlubą należy podkreślić fakt, że zarówno w latach 1918—1920 jak i w r. 1939 wychowankowie nasi swą ofiarną krwią podkreślali narodowy charakter naszego zakładu. Renegatów i odstępców poza jedynym wypadkiem wśród nauczycielstwa i trzema lub czterema wypadkami wśród uczniów, na ogólną liczbę 500 wychowanków, nie było. Zakład nasz na szczęście nie był i nie będzie rezerwatem dla zdrajców ojczyzny.

Z miłością Polski idzie w parze ukochanie nauki oraz przywiązanie do szkoły i wychowawców. Młodzież czuje się w szkole jak w domu, częstokroć ze względu na fatalny brak światła i odpowiednich warunków w domu nawet lepiej, niż u siebie, w rodzinie.

Widzimy więc, że nasza sędziwa, stuletnia Alma Mater Ostroviensis była od zarania swego istnienia zawsze ostoją polskości. Świadczy o tym przepiękna karta T. T. Z-etui. Mało tego. Gimnazjum nasze stojące w rzędzie tak starych zakładów jak Leszno i Trzemeszno, trzymało również prym i w nauce na równi z Gimnazjum Św. Marii Magdaleny w Poznaniu. Nie dziwnego, że wysunęło się ono na czoło zakładów w południowej Wielkopolsce. Nie przemawia przeze mnie ani pycha, ani duma, ani zarozumiałość. Stwierdzam tylko fakt oczywisty, podkreślany tykokrotnie przez wyższe uczelnie. Dziś celem naszym jest się utrzymać w tej roli. Zadaniem naszym będzie wyrobić naszym maturom takie znaczenie, jakie w świecie finansowym mają na giełdzie funty szterlingi i dolary, a w świecie orderów wojskowych krzyże „Virtuti Militari“. Leży to w naszej szlachetnej ambicji naukowej.

Wierni tradycji krzewiciele kultury i obrońcy polskości...

Dziś składamy ślubowanie
U Twych, Polska Szkoło, stóp,
Że dopóki nam tchu stanie,
Będziem wierni, aż po grób,
Bo w nas wre miłości morze,
Tę na Twym ołtarzu złożym!

Echo, pomnik a „Lingua Lafina”

Wielu z nas chce zapewne cieszyć się u otoczenia nieskalaną opinią i dobrym imieniem.

Podobne myśli mirtowały również w umysłach dwu braci zakonnych: ojca benedyktyna i ojca jezuita. Przejeżdżając raz pewnego przez las rozpoczęli spór o wyższość jednego zakonu nad drugim. Po wyczerpaniu wszystkich argumentów ojciec jezuita uczynił propozycję, aby na podstawie praw fizyki, a mianowicie odbicia fal głosowych, co poprostu nazywamy „echem”, rozstrzygnąć ciemną kwestię. Był bowiem zupełnie przekonany, że swoim dowcipnym pomysłem udowodni przeciwnikowi wyższość swego zakonu, a tym samym również i swoją. Przeciwnik przyjął wniosek kolegi.

Ojciec jezuita wypowiada powoli, wyraźnie, donośnym głosem takie zdanie: „Quae est Benedictorum regula?”

Po kilku sekundach „echo” odpowiada:

...gula ...gula... —

Benedyktyn zrozumiał natychmiast „dictum” kolegi i aż posiniel ze wstydu. Nie dal jednak za wygraną i po krótkim namyśle wyrzucił na fale powietrza następujące słowa:

„Est-ne diabolus in Jezuita?”

I tym razem „echo” nie zawiodło odpowiadając:

... ita... ita...

Pięknym za nadobne. Od tego czasu dwaj zakonnicy stali się naprawdę szczerymi przyjaciółmi.

Francja wdzięczna genialnemu wodzowi, wystawiła mu w jednym z miast wspinał się pomnik. Za radą jednego z ojców miasta wyrzyta na pomniku następujący cytat w języku łacińskim:

— „Soli, Soli, Soli!” —

Czy to ma jakiś sens, czy też tylko dla fantazji umieścił wdzięczny naród te trzy wyrazy?

Ci wszyscy, którzy mają odrobinę sympatii dla kultury i filologii antycznej, niech starają się powyższe zdanie oddać odpowiednio w języku ojczystym. Przy okazji przypomnę sobie tajniki łacińskiej syntesy” i „nadobne połączy się z pożytecznym”.

STASIERSKI LECH, kl. III c

Jeden z moich kolegów w kolegium saskim

Jest miłe, słoneczne, niedzielne popołudnie. Po bezchmurnym niebie żeglują słońce, śląc swe złociste promienie na szachownicę zielonych pól i granat żywicią pachnących lasów.

Pragnienie życia rozpięrało piersi młodych ludzi. Świat cały wydawał się piękny, duży, a zarazem jakiś miły, przytulny. Kawiarnie i kina świeciły pustką, a napelniały się parki i ogrody. Gromadki ludzi ciągnęły w stronę lasów

W jednym z domków przy Alei Słowackiego siedział w dusznym pokoju Jurek Świstalski i nudził się. Nie, właściwie nie nudził się, „kuł”. Przed nim w jakiejś nerwowej pozycji leżała gramatyka łacińska, której kartki rozbiegały się, jedna do Lasa, druga do Sasa. A on, czy dlatego, że już wąsy wyrastały, czy dla dodania sobie animuszu, palił zawzięcie papierosa, mimo, że zawartość żołądka zdradzała wyraźną inklinację w kierunku jednej ze stolic bałtyckich.

Raz po raz spoglądał do książki, to znów przez okno na ulicę, czasem głośno ziewnął i bezmyślnie powtarzał regułkę o „consecutio temporum”. W duszy przeklinał łacinę. Jednak postanowił wziąć się za bary z lenistwem. Pani prof. powiedziała mu na ostatniej lekcji: „Świstalski, za bardzo streszczasz się! Uważaj, by ci to na złe nie wyszło!”. Więc mimo, że niedziela roztacza swe popołudniowe uroki (koleżanki, przechadzki i t. d.), on zawzięcie „wkuwa”.

„Wkuwa”, choć głowa ciąży — nie wiadomo, z winy papierosa, czy przepracowania. „Wkuwa”, a z przyżółkłych kart gramatyki „ablativus absolutus”, nagle podstakuje złośliwie, wydyma potworne brzuszysko, wybalusza iskrzące się ślepia i ważąc potczworny kadłub na cienkich nóżkach pająka sunie w kierunku swej sąsiadki. Bo oto z następnego rozdziału: podnosi się „Coniugatio periphrastica”, apokaliptyczna wiecóżina o twarzy usianej brodawkami i rozkrzyczanej przeraźliwym grymasem krogulczego nosa. Ujęli się pod ręce i z chichotem, pełnym złośliwego zadowolenia tańczą przed oczyma nieszczęśliwca swój toniec szyderstwa, klepią się z uciechy po pająkowatych udach, skaczą z zależności na zależność, z „genetivu” na „accusativus”, z „singularis” na plularis”. Wkrótce porywają za sobą w potępieńczy korowód wszystkie na tej stronie znajdujące się przyimki, przypadki, przysłówki, przy... przy...

Jurek przetarł ręką zroszone potem czoło. Nie, tego już chyba nie wytrzyma. Z nad okna doleciało go wabiące pogwizdywanie jakiegoś ptaka. Jurek zamyslił się, rozplynał się w marzeniach, ziewnął i.. słodko zasnął.

Wnet jednak obudził się. Lecz cóż to? Jakimś dziwnym sposobem znalazł się na ławce szkoły klasztornej z czasów saskich. Wokół niego jacyś nieznanzi chłopcy powtarzają sennym głosem wiersz poety rzymskiego:

„Tu reger imperio populus, Romane, memento,
Hae tibi erunt artes — pacisqu impenere mores,
Parcere subiectis et debellere superbos“ —

odbijało się jakimś martwym echem wśród gotyckich sklepień sali.

Świstalski powiódł przerażonymi oczyma po klasie. Żadnej znajomej twarzy! Wszyscy wpatrzeni w osobę preceptora siedzącego na katedrze, powstarzają nieznaną mu łaciński wiersz. Mimo woli odwrócił się w stronę swego sąsiada, jakby szukając ratunku. Ten obrzucił go jednak zimnym, pogardliwym spojrzeniem, a poczuwszy na sobie ostry wzrok nauczyciela, rozplynął się zaraz w obleśnym uśmiechu pochlebstwa. Po recytacji chóralnej bałakarz podobny do zasuszonego pustelnika, wywoływał uczniów do recytacji solowej. Świstalski drżał. Zdawało mu się, że w każdej chwili zostanie zapytany. I stało się! Magister spojrzal swymi przenikliwymi oczyma na Świstalskiego i rzekł: „Georgi, Vergili versus recita!“ Świstalski wstał i drżącym głosem rozpoczął: „Ja... nie wiem, skąd... się tu wziąłem“ — wyszeptał zbiełymi wargami. Nauczyciel popatrzył na niego przez chwilę, następnie przywołał siedzących w końcu sali drągali i rozkazał im wyciągnąć Świstalskiego z ławki.

W oczach przywołanych chłopaków polyskiwały jakieś ogniki dziwnego zadowolenia, zemsty czy nienawiści. Ochoczo wyciągnęli go z ławki na środek klasy i rozłożyli na podłodze. „Duodetriginta“ — zahrmiał głos ascetycznego magistra i dwadzieścia osiem bolesnych razów spadło na plecy nieszczęśliwego chłopca.

Po tej operacji nauczyciel zawiesił na jego szyi tabliczkę z napisem: „Nota linguae“; brzoźowe różgi wróciły do wody w kadzi, której brzegi srebrzyły się szronem solnego osadu. Świstalski rozumiał teraz „na własnej skórze“, że w szkole po polsku mówić nie wolno. Na łacińskich zdaniach i wierszach minęła cała lekcja. Po niej nastąpiła druga. Inny zakonnik uczył chłopców ogłady łacińskiej, ukłonów i wygłaszania mów.

Świstalski czuł w głowie szum i głuchy ból. Jle by dał za to, aby wrócić do swojego starego, kochanego gmachu przy ul. Gimnazjalnej 9.

„Och, ja nieszczęśliwy“, wyrwało mu się bezwiednie z ust, gdy zakonnik kazał mu kłaniać się w pas. Wtem poczuł, że ktoś go chwycił za kołnierzyk i ciągnie w tył.

Sen rozwiął się! Zbudził się w pokoju zalanym złotą kaskadą promieni słonecznych. Za nim stała koleżanka Renia i śmiejąc się, zapraszała śpiącego na przechadzkę. Jurek podziękował, przeprosił i zabrał się do łaciny.

Mijała godzina, za godziną. Jurek siedział wciąż jeszcze nad książką. W takt monotonnego tykania zegara „ablativus absolutus“ mrugał filuternie oczami, uśmiechnięta „coniugatio periphrastica“ kokietowała chłopca, potakując dobrotliwie: „Tak to, tak, tak to, tak...“

Zegar wybijał powoli jedenastą.

Jeden dzień w szkole

Nauka u nas rozpoczyna się o godz. 8. rano, lecz gdyby ktoś wszedł do klasy, wyniósłby z niej wrażenie ponure. Jest czego się smucić. Oto dzisiaj właśnie według planu jest 6 lekcji i w dodatku same „najcięższe“. Dzwonek. Na korytarzach zrobiło się pusto, tylko u nas przez szpary w drzwiach śledzi się dostojne kroki pedła, i kiedy przyjdzie pani profesor, bo pierwsza lekcja to rachunki. Godzina liczenia, i żu'a chleba pod ławką. Pani profesor przy tablicy wymyśla coraz to nowe na nas tortury. Nareszcie dzwonek i wszyscy oddychają. Jurek z wielkiej radości palnął rurką gumową Edka, a Edek wyjmując „maszynkę“ i chce strzelać.

Jurek w wielkim strachu zmyka nie zapomniawszy po drodze pchnąć Maniśta. Rozlega się dzwonek. Teraz historia. Pani profesor pyta „Kazika“, co było na dziś. Kazik w pesymistycznym nastroju idzie do mapy i „duka“ parę słów czekając, aż mu z klasy pomogą. W ten sposób mija cała lekcja, bardzo zresztą ciekawa. Trzecia lekcja geografia. Pani profesor wyklada, my nie bardzo słuchamy, a Władek z Mietkiem zajmują się tak doniosłą pracą, jak rzucanie kulek papierowych. Po dzwonku na pauzie przy tablicy wszczyna się ruch. Następną lekcja to biologia. Na wchodzącego profesora patrzy z tablicy wielki napis: „Niech żyje Zajac!“ Pan profesor robi uwagę, by Zajac, jako silny silny chłopak nie zezwalał na podobne żarty, ubliżające czci i powadze zajęczego rodu. Lekcja biologii, na której uczymy się dzisiaj o korzenionózkach, schodzi nam jak zwykle miło i co najważniejsze, szybko. Następną lekcją to język polski. Gdy pani profesor wchodzi do klasy, podnosi się gwar. Każdy chce wiedzieć, jaki ma stopień z ostatniego wypracowania szkolnego. Niestety, pani profesor pamięta tylko kilka stopni. Z mniej szczęśliwych kolegów szczerząc zęby szyderczo, śmieje się Władek z pierwszej ławki. Siedzący za nim Jurek czuje się zobowiązany dać mu za to w ucho. Na lekcji czytamy teraz Odyseję Homera, która się nam bardzo podoba. Po skończonej lekcji na pauzie w kółku „miłośników“ sportu toczy się gorąca dysputa, czy będzie gra, czy nie. Kapitan drużyny, mistrz piłki nożnej, nasz „Młynarek“ Jurek, spiera się o to ze znanymi i poważanym w szerszych kołach sportu Antkiem. Przerywa mu dopiero wchodząca do klasy pani profesor. To francuski. „Bonjour-mes-amis“. Krzyczymy wielkim głosem! „Bonjour Madame“. Lekcja się rozpoczyna, wszyscy się poca nad czytanką, o „Słońcu i księżycu“. Czytanka ta wprawdzie wcale nam do szczęścia nie potrzebna, co zresztą twierdzi i pani profesor, mimo to jednak lekcja idzie dobrze. Przy końcu pani profesor jako nasza wychowawczyni daje nam kilka zbawiennych rad co do naszego zachowania się i zadaje lekcję na jutro. Dzwonek dzwoni. Mówimy paćterz i idziemy do domu. Tak się skończył dzień szkolny.

M. JANIĄK

Stanowisko • Marii Skłodowskiej-Curie w obecnym świecie naukowym

Dokończenie

W roku 1895 fizyk francuski Becquerel zauważył, że sole uranowe wysyłają dotychczas nieznaną promienię. Świat ówczesny nie zwrócił na to większej uwagi. Tym odkryciem zainteresowała się przebywająca wówczas w Paryżu Maria Skłodowska, która zbadała własności tajemniczych promieni i stwierdziła, że podobne promienie wysyła również pierwiastek tor. Młoda uczona zaczyna prowadzić w tym kierunku wyczerpującą pracę wykonując z pedantyczną ścisłością potrzebne pomiary, w wyniku czego udało jej się wyodrębnić substancję 400 razy silniej promieniującą od uranu, którą nazwała na cześć swojej ojczyzny polonem. Nie był to jednak koniec epokowych odkryć. Wyczerpująca, męcząca i pełna zaparcia się siebie praca doprowadziła następnie do odkrycia jeszcze bardziej promieniotwórczego pierwiastka — radu.

Jej wiekopomne zdobycze wiedzy o promieniotwórczości znalazły zastosowanie w mineralogii, geologii, meteorologii, medycynie. Skłodowskiej ofiarują miliony za prawo opatentowania jej odkryć, ona jednak nie chce ograniczać swobody badacza dostatkami materialnym.

Odkrycie radu miało znaczenie nie tylko praktyczne. Pchnęło ono bowiem naukę na nowe tory, stało się początkiem fizyki atomu. Promieniotwórczość dostarczyła pierwszych konkretnych danych co do budowy atomu uważanego dotychczas za niepodzielny.

W uznaniu zasług Marii Skłodowskiej-Curie Akademia Szwedzka przyznała jej dwukrotnie nagrodę Nobla z dziedziny chemii. Imię jej zostało roznieśione po całym świecie, a dziś bodaj w każdym kulturalnym kraju znajduje się instytut radowy, kontynuujący wielkie dzieło które oddaje olbrzymie usługi człowiekowi. Rezultaty pracy wielkiej Polki są nieśmiertelne i posłużyły za odskocznnię do nowych badań, których uwieńczeniem jest uwolnienie i zbadanie energii atomu, a ta w najbliższym czasie dokona wielkiego kataklizmu w naszej kulturze materialnej, popchnie świat na doskonalsze tory podnosząc dzięki temu wybitnie jego stopę życiową. Nie zapominajmy, że Skłodowskiej jako Polce powinniśmy okazać wdzięczność i cześć, bo wiekopomnym wynalazkiem rozślawiła imię Polski na całym świecie.

Nakł. T. T. Z. przy Państwowym Liceum i Gimnazjum Męskim.

Odbito w DRUKARNI MIEJSKIEJ w Ostrowie - Wlkp.

